

# Krystyna Ostrowska, Andrzej Siemaszko

---

## Uwagi na marginesie psychologicznej teorii samowiedzy Józefa Kozieleckiego

---

Studia Philosophiae Christianae 18/2, 193-202

---

1982

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Z ZAGADNIENI PSYCHOLOGII

KRYSTYNA OSTROWSKA, ANDRZEJ SIEMASZKO

### UWAGI NA MARGINESIE PSYCHOLOGICZNEJ TEORII SAMOWIEDZY JÓZEFA KOZIELECKIEGO

Józef Kozielecki, znany do tej pory głównie ze swych prac z zakresu teorii decyzji, przedstawił tym razem czytelnikom swą koncepcję, którą nazwał „psychologiczna teoria samowiedzy”. Autor, jak sam przyznaje, wstąpił na bez mała dziewiczy teren wiedzy psychologicznej (inna sprawa, czy jest to teren rzeczywiście tak dziewiczy). Jak to jednak zazwyczaj bywa z tego rodzaju przedsięwzięciami, wstąpienie na dziewiczy teren wiąże się z różnego rodzaju niebezpieczeństwami, z których zresztą Autor doskonale zdawał sobie sprawę. Jednakże zdawanie sobie sprawy z niebezpieczeństw popełnienia błędu, przeoczeń czy przeinaczeń nie oznacza niestety, że się ich w praktyce uniknie. To też rozważania poniższe będą miały charakter polemiczny z niektórymi tezami zawartymi w pracy Kozieleckiego. Nie jest to jednak bynajmniej recenzja książki. Zatem pominiemy kwestię układu tej pracy, jej zawartości, plusów i minusów koncentrując się wyłącznie na kilku, naszym zdaniem, szczególnie kontrowersyjnych problemach. Tak więc uwagi poniższe siłą rzeczy adresowane są do czytelników zaznajomionych już z treścią pracy Kozieleckiego.

Lektura ta nasunęła nam także pewne uwagi znacznie ogólniejszej natury, które stanowiły asumpt do rozważań o obecnym statusie, specyfice i ułomnościach nauk społecznych w ogóle.

Wątpliwości nasze ujmować będziemy w odrębnych punktach, lecz ich układ w żadnym wypadku nie implikuje hierarchii czy też „gradacji” naszych uwag, wątpliwości i zarzutów.

1. Kozielecki twierdzi, że obce jest mu podejście eklektyczne w psychologii, z czym ostatecznie można się zgodzić, ponieważ istotnie bardziej „eleganckie” i spójne są koncepcje wywodzące się z jednorodnej metateorii czy orientacji. Autor wymienia cztery takie główne orientacje we współczesnej psychologii — psychoanalizę, behawioryzm, psychologię humanistyczną i poznawczą — deklarując się jako konsekwentny zwolennik tej ostatniej. Aliści taka postawa badawcza oprócz wielu pozytywów (np. jasność i jednorodność terminologiczna, logiczna spójność i możliwość wywodzenia twierdzeń o mniejszym stopniu ogólności z ogólnej teorii) zawiera w sobie także zasadnicze wady. W pierwszym rzędzie chodzi o to, iż — niestety — żadna z wymienionych przez Autora orientacji nie jest w pełni zadawalająca. Stąd też zapewne popularność podejścia eklektycznego w psychologii. Wydaje się nam, iż właśnie owa konsekwencja (skąd inną dość rzadko spotykana i tym bardziej godna uznania) Autora z jaką prezentuje swą teorię samowiedzy w języku orientacji poznawczej zaważyła w głównej mierze

na jej ułomności. Autor zastrzega lojalnie, że nie interesuje go sfera podświadomości jednostki, jako że należy to już do dziedziny psychoanalizy. Czyż można jednak stworzyć adekwatną teorię samowiedzy ignorując całkowicie całą wielką sferę sądów osobistych, standardów czy samoocen, które z takich czy innych przyczyn funkcjonują poza sferą świadomości jednostki i nie dość na tym — wywierają niezmiernie istotny wpływ na jej świadome działania. Oczywiście psychoanalizy można „nie lubić”, wiele jej zarzucać od strony zarówno teoretycznej jak i empiryczno-metodologicznej i w związku z tym orientację tę odrzucać. Należy mieć jednak pełną świadomość w jak dużym stopniu podejście takie zubaża koncepcję samowiedzy jednostki. Nie wydaje się nam, by Autor zdawał sobie w pełni sprawę z ceny jaką przyszło mu zapłacić.

W tej materii należy jednak postawić Autorowi teorii samowiedzy zarzut znacznie poważniejszy, gdyż prezentowana koncepcja samowiedzy zdaje się także nie w pełni odpowiadać nawet wybranemu przez Autora paradygmatowi naukowemu. Koziński mianowicie bezpodstawnie zawęża pojęcie samowiedzy jednostki do tego co jest ona w stanie zwerbalizować. Podejście takie przypomina nieco dawno już zdyskredytowaną koncepcję whorfowską „myślenie przez język”. Autor stwierdza dość lakonicznie, że obrona przezeń generalna koncepcja teoretyczna zmusza go do ograniczenia pojęcia samowiedzy wyłącznie do sfery zwerbalizowanej. Mówiąc innymi słowy — Koziński gotów jest uznać wysoką samoocenę człowieka w zakresie jego inteligencji tylko w przypadku, gdy jest on w stanie powiedzieć o sobie „jestem bardzo inteligentny”. Stąd cytując znane badania Łurii, poświadczające m.in. samowiedzy (wg. terminologii Kozińskiego), w których wyszło na jaw, że chłopcy z zapadłej wsi w rewolucyjnej Rosji nie potrafili wiele powiedzieć o sobie. Autor stwierdza o braku samooceny u ludzi wychowanych w warunkach feudalnych. Czy jednak badanie Łurii nie stanowi jedynie potwierdzenia tezy o niskiej umiejętności werbalizacji własnych stanów emocjonalnych, samoocen i standardów? Czy jedynie umiejętność werbalizacji świadczy ma o tym, że dana jednostka posiada samowiedzę? Czy na przykład kryterium takim nie mogą być określone działania jednostki? Zresztą w tym zakresie Koziński także nie jest zbyt konsekwentny. Cytuje bowiem badania, w których poziom, rodzaj i kierunek samowiedzy ustalano za pomocą technik projekcyjnych. Należy, jak się wydaje, zdawać sobie sprawę z faktu, że między sferami nieświadomości i pełnej werbalizacji istnieje dość duża „przestrzeń psychiczna”. Myślimy, a więc myślimy także o sobie na różnych „poziomach”, zaś myślenie poprzez język stanowi tylko jeden z tych „poziomów”.

Zatem pominięcie tej kluczowej kwestii uznajemy za jeden z ważnych mankamentów psychologicznej teorii samowiedzy Kozińskiego.

2. Kolejną ułomnością omawianej koncepcji jest jej, w gruncie rzeczy, niezmiernie statyczny charakter. Koziński poświęca wprawdzie zagadnieniu kształtowania się i zmian samowiedzy w czasie cały rozdział (nota bene jest to naszym zdaniem zdecydowanie najsłabsza część pracy), ale ze stanowiskiem jakie w nim prezentuje zaiste trudno się zgodzić. Autor wyodrębnia dwa zasadnicze stadia w kształtowaniu się samowiedzy jednostki (wiek 3—4 lata oraz wiek 12—14 lat, przy czym te dwa krytyczne okresy przydziela tzw. „samowiedza zróżnicowana”) i wszelkimi sposobami stara się bronić tezy, iż nie występuje zależność między wiekiem a poziomem samowiedzy. Cóż, z poglądem takim

można się zgadzać bądź nie (tym bardziej, iż przytaczane przez Autora wyniki badań są całkowicie rozbieżne). Jednakże wiek stanowi jedynie jedną ze zmiennych dynamicznych wpływających na elementy samowiedzy. Tu mała dygresja, Koziellecki wyodrębnia elementy samowiedzy, ale duża część pracy poświęcona jest samoakceptacji, któremu to zagadnieniu poświęcono w psychologii wiele miejsca. Jest to więc wyważenie otwartych drzwi, tyle tylko że przy pomocy innych narzędzi (własnej siatki pojęciowej). Jak się wydaje, szczególnym zmianom może ulegać poziom samoakceptacji — np. pod wpływem różnorodnych krytycznych wydarzeń w życiu człowieka (od czego Autor zdaje się całkowicie abstrahować).

Owa, w istocie swej, statyczna koncepcja samowiedzy Kozielleckiego, wynika, naszym zdaniem, z faktu niezrozumienia i zignorowania przez Autora założeń symbolicznego interakcjonizmu, który Koziellecki nie wie gdzie czemu określa „teorią lustrzanego odbicia”. Sądzić można, iż użycie przez Autora tego już od lat niefunkcjonującego terminu w psychologii społecznej na określenie nurtu zwanego symbolicznym interakcjonizmem świadczy nie tylko o niedostatecznej orientacji Jego w podstawowych założeniach kierunku, ale także (a może przede wszystkim) o jego niezrozumieniu. Istotnie Cooley wprowadził do psychologii społecznej termin „looking glass self”, ale miało to miejsce na początku dwudziestego wieku i od tej pory symboliczny interakcjonizm co nie co się rozwinął. Tak, że nie tylko Cooley, lecz także cytowani przez Autora Mead i Sullivan są już obecnie klasykami całego kierunku. Posługiwanie się przez Kozielleckiego historycznym już pojęciem jaźni odzwierciedlonej (i to w szczególności w oryginalnym rozumieniu Cooleya) nie jest, jak już wspominaliśmy, jedynie drobną usterką stylistyczną. Wynika ono bowiem z całkowicie opaczego rozumienia przez Kozielleckiego relacji jednostka — otoczenie w ujęciu symbolicznego interakcjonizmu. Zdaniem Autora, dla interakcjonistów istotne jest jedynie oddziaływanie jednostronne- tzn. oddziaływanie wyłącznie otoczenia na jednostkę. W takim ujęciu człowiek jawi się jako bierny odbiorca sygnałów płynących z jego otoczenia społecznego. Tymczasem takie pojmowanie symbolicznego interakcjonizmu sprzeczne jest już nawet nie tylko z treścią tej koncepcji, ale także z jednym z członów jego nazwy. Kierunek ten nosi mianowicie nazwę symbolicznego interakcjonizmu. Tak więc siłą rzeczy nie może abstrahować i bynajmniej nie abstrahuje od zwrotnych oddziaływań jednostki na swe otoczenie i siebie. Rzecz jasna nie miejsce tu na szerszą prezentację podstawowych założeń interakcjonizmu. „Wykład” taki byłby poza tym grubym nietaktem w stosunku do tej miary naukowca co prof. J. Koziellecki. Tym niemniej warto jednak powiedzieć, iż u podstaw interakcjonizmu symbolicznego leży założenie, iż osobowość człowieka (a więc także jego samowiedza) kształtuje się w procesie interakcji z otoczeniem. Jednostka pozostaje pod wpływem otoczenia, lecz jednocześnie także na to otoczenie wpływa i kształtuje je. Tymczasem Koziellecki pisze: „Twórcy tej koncepcji nie dostrzegli roli własnej aktywności jednostki w formułowaniu samowiedzy. Tymczasem wiadomo, że w okresie dojrzewania młodzież samodzielnie obserwuje swoje zachowanie i swój świat wewnętrzny, dzięki czemu gromadzi informacje zwrotne, które następnie uogólnia”<sup>1</sup>. Zaś w in-

<sup>1</sup> J. Koziellecki, *Psychologiczna teoria samowiedzy*, Warszawa 1981, 221.

nym miejscu: „Koncepcja Cooleya... prowadziła do paradoksu. Skoro bowiem to, jak widzimy siebie zależy tylko od opinii innych (podkreślenie nasze-K.O.,A.S.), od opinii wyrażonych w danej chwili przez rodziców czy rówieśników, to obraz własnej osoby jest doskonale płynny i procesualny, nie ma w nim obszarów stabilnych i skryształizowanych. Krótko mówiąc zmienia się z chwili na chwilę. Każda nowa opinia burzy dotychczasowe wyobrażenia o sobie”<sup>2</sup>. Nietety podobnych cytatów można by przytoczyć więcej.

Kozielecki zarzuca „procesualny obraz własnej osoby” w ujęciu symbolicznego interakcjonizmu. I jest tak w istocie. Z tym, że w przeciwieństwie do Autora; sądzimy, iż jest to podstawowa zaleta, a nie wada omawianego kierunku. Nota bene, nawet w ujęciu Cooleya nie był on tak „doskonale płynny” jak mu to imputuje Kozielecki, nie wspominając już nawet o współczesnej odmianie symbolicznego interakcjonizmu. Po prostu interakcjonści ujmują osobowość (a więc także i składniki samowiedzy wyszczególniane przez Kozieleckiego) w sposób dynamiczny, jako ciągłe stawanie się, jako proces właśnie. I proces, o którym mowa wcale nie ogranicza się wyłącznie do fazy kształtowania się zrębów osobowości w ontogenezie — trwa on praktycznie przez całe życie. Jest niezrozumiałe dlaczego Autor nie uwzględnił w swej koncepcji samowiedzy przynajmniej pewnych ustaleń symbolicznego interakcjonizmu i to właśnie w części pracy, która, naszym zdaniem, w porównaniu z innymi jest zdecydowanie najsłabsza.

Sądzimy, iż przemawiałyby za tym dwie istotne przesłanki. Po pierwsze, mimo, że Kozielecki ortodoksyjnie trzyma się ogólnych założeń psychologii poznawczej, to jednak nie wydaje się, by symboliczny interakcjonizm w zasadniczy sposób kłócił się z Jego generalną koncepcją teoretyczną. Po drugie, uwzględnienie procesów interakcyjnych w rozwoju i kształtowaniu się samowiedzy (nawet jako jeden ze składników) w istotny sposób wzbogaciłoby całą koncepcję nadając jej charakter dynamiczny. Jak już bowiem podkreślaliśmy na wstępie statyczność psychologicznej teorii samowiedzy uważamy za jeden z jej głównych niedostatków.

Aby nie ograniczać się do abstrakcyjnych rozważań dajmy przykład wpływu jaki mogą wywierać na samowiedzę symboliczne interakcje z otoczeniem jednostki. Przy czym wpływ ten może mieć miejsce w odniesieniu do wszystkich uwzględnianych przez Autora elementów samowiedzy, a więc także np. do zmian w samoopisie—choćaby co do wyglądu zewnętrznego („jestem brzydki — ładny”, itp.). Jednakże, jak się wydaje, wpływ ten może być najdonioślejszy w stosunku do samooceny i poziomu akceptacji.

Rozważmy następującą hipotetyczną sytuację. Dany uczeń ma w punkcie wyjścia określone, dość wysokie mniemanie co do swoich uzdolnień. I nie jest bynajmniej sprawą obojętną jaki rodzaj interakcji z otoczeniem będzie następnie zachodził w interesującej nas tu sferze samowiedzy. Jeżeli „istotni inni” (rodzice, koledzy, nauczyciele) wzmacniają będą owo przekonanie nastąpić może zmiana obrazu własnego i wzrost zarówno samooceny jak i samoakceptacji. Umocnienie się przekonania jednostki co do własnych uzdolnień może z kolei oddziaływać zwrotnie na otoczenie w procesie interakcji. Nastąpi wówczas to co bywa określane jako „samospełniająca się przepowiednia”.

<sup>2</sup> Tamże, 209—210.

Innymi słowy, system pozytywnych wzmocnień w procesie interakcji doprowadzić może do zasadniczej zmiany samowiedzy jednostki. Temu celowi służą m.in. działania o charakterze terapeutycznym. W tym przypadku proces interakcji ma nierazdko na celu np. podwyższenie samooceny jednostki czy też- stosując nomenklaturę Kozieleckiego — obniżenie standardów osobistych. Uważamy, iż w pracy poświęconej psychologicznej teorii samowiedzy tych zasadniczych przeciwieństw kwestii nie sposób było pominąć. Zresztą przykłady wpływu interakcji na zmianę składników samowiedzy (w szczególności pewnych samoocen, poziomu samoakceptacji i standardów osobistych) jednostki można by mnożyć praktycznie bez końca. Sądzymy jednak, że już przytoczone przykłady pozwolą na zorientowanie się czytelnika w istocie zagadnienia.

3. Każdemu Autorowi wolno jest nawiązywać bądź pomijać pewne koncepcje teoretyczne. Nie negując generalnej zasadności takiej postawy badawczej, mamy jednak Kozieleckiemu do zarzucenia, że w pracy swej nie nawiązał ani do teorii postaw ani też (w szerszej mierze) do koncepcji balansu poznawczego F. Heidera, jak też festingerowskiej koncepcji dysonansu poznawczego. Oczywiście każdy ma prawo odkrywać Amerykę na nowo i nic w tym zdrożnego pod warunkiem... że kontynent ten okaże się być uplasowany w miejscu, w którym plaśują go istniejące mapy i globusy. Gdyby się jednak okazało, że wbrew potocznym opiniom Ameryka leży zupełnie gdzie indziej, należy przynajmniej nawiązać polemicznie do tych opinii, a nie chować głowy w piasek i udawać, że przed tym odkrycia Ameryki nie dokonano. A tak właśnie zdaje się postępować w tych przypadkach Autor.

Zacznijmy od pierwszej kwestii. Otóż wszystko to co Kozielecki określa jako samowiedzę, można uznać za pewien mniej lub bardziej usystematyzowany i shierarchizowany zbiór postaw odnośnie własnej osoby. Taki, z pewnością uprawniony zabieg stworzyłby dla Autora wiele poważnych problemów. Bowiem co jak co, ale teorie postaw należą bezprzeczenie do najlepiej rozwiniętych w psychologii społecznej. Istnieje wiele koncepcji, jak również przebogaty materiał empiryczny. Istota zagadnienia polega więc, naszym zdaniem, na tym głównie, że hipotezy i ustalenia psychologicznej teorii samowiedzy pozostają nierazdko w sprzeczności z teorią postaw. Często też pewne twierdzenia dają się wywieść zarówno z jednej jak i drugiej koncepcji. Czyż zatem poważnym mankamentem teorii samowiedzy nie jest brak takiego nawiązania?

Problem ten rysuje się jeszcze bardziej wyraźnie w odniesieniu do koncepcji balansu i dysonansu poznawczego. W tym przypadku brak szerszego ustosunkowania się do wspomnianych koncepcji jest już poważnym błędem. (szerszego, gdyż należy Autorowi lojalnie przyznać, iż kilkakrotnie do Festingera nawiązuje).

Zdaniem naszym błąd ten pociągnął za sobą dwojakiego rodzaju konsekwencje. Po pierwsze, pokrewieństwo wspomnianych koncepcji z szeregiem elementów teorii Kozieleckiego wydaje się aż nadto oczywiste, zaś ustalenia i predykcje są niestety w wielu przypadkach sprzeczne. Odnosi się to m.in. do takich kwestii jak sposób redukcji dysonansu poznawczego w sytuacji dużej rozbieżności między samooceną a standardami osobistymi, rozwiązywanie dylematów, które wyłaniają się przy uzyskiwaniu nowych informacji na swój temat, które są sprzeczne z dotychczas posiadanymi (wprawdzie Autor nie pomija tej kwestii milczeniem ale akurat, w tym przypadku aż prosiło się

o szersze ustosunkowanie się do Festingera), zagadnienie radzenia sobie w sytuacjach, w których występują rozbieżności między różnorodnymi samoocenami. Podobnych przykładów można by przytoczyć znacznie więcej. Nie pozwalają na to jednak ramy artykułu.

Po drugie, sądzymy, że tak jak w przypadku symbolicznego interakcjonizmu, tak i w odniesieniu do koncepcji balansu i dysonansu poznawczego brak jest zasadniczych przeszkód, by zintegrować te koncepcje z teorią Kozieleckiego. Tym bardziej, że mimo konsekwentnego opowiadania się przez Autora za psychologią poznawczą i niemniej konsekwentnej walki z eklektyzmem w psychologii teorie te nie wydają się pozostawać w sprzeczności z psychologią poznawczą. Na dobrą sprawę ich piętro ogólności sprawia, że w ogóle nie jest łatwo dociec z jakiego „pnia” się one wywodzą. A mogłyby one w istotny sposób zwiększyć zarówno siłę eksplanacyjną jak i predykcyjną teorii Kozieleckiego.

5. Przechodzimy tym samym do kolejnej niezmiernie ważkiej kwestii — czy mianowicie to co Kozielecki nazwał „psychologiczną teorią samowiedzy” spełnia podstawowe kryteria teorii? Wydaje się, że mimo wszystko nie.

W tym miejscu pozwolimy sobie na małą dygresję, która ma ściśły związek z głównym tematem naszych rozważań. Otóż status teorii w naukach społecznych jest dość dziwaczny. Mówiąc lapidarnie, funkcjonują one w dużej mierze „na wariackich papierach”. Nie spełniają bowiem podstawowych kryteriów teorii ani ogólnometodologicznych ani logicznych. Lektura powszechnie dostępnych publikacji z zakresu teorii w ogóle (które za materiał egzemplifikacyjny przyjmują najczęściej teorie z dziedziny nauk ścisłych) wprawia w niejakie osłupienie. Tak niewiele bowiem mają teorie w naukach społecznych do tego co teorią z prawdziwego zdarzenia być powinno. Odnosi się to zarówno do ich siły eksplanacyjnej jak i predykcyjnej (nie wspominając już nawet o utylitarnej). Zdajemy sobie rzecz jasna sprawę, że wynika to z ogólnego poziomu (czytaj: niedoskonałości) nauk społecznych w porównaniu z naukami określanymi jak „ścisłe”. Tym niemniej w naukach społecznych pojęcie „teoria” jest nagminnie nadużywane, przez co się znacznie zdevaluowało. Gdy w psychologii czy socjologii „powstaje teoria” na ogół nie odbiega ona daleko od zwrotów językowych w rodzaju „mam własną teorię na temat gotowania jajek na miękko”. Do najczęściej pojawiających się w tej mierze błędów zaliczamy niemal powszechne mylenie pojęć „teoria” i „opis”.

I wydaje się nam, że właśnie ten rodzaj błędu popełnił Kozielecki. Nie stworzył teorii samowiedzy, lecz jedynie dokonał opisu zasadniczych jej elementów i reguł według których się ona tworzy, co ją rozwija, co ogranicza. Nota bene w tym kontekście nie od rzeczy będzie wytknąć Autorowi jeszcze jedno poważne uchybienie. Otóż w rozdziale pt. „Podstawowe składniki samowiedzy” pomylił składniki jej struktury z procesami jej generowania, zawierając tak odmiennie przecież elementy w jednym wzorze. To z czego składa się samochód implikuje rzecz prosta sposób jego funkcjonowania. Jednakże struktura i funkcjonowanie to jednak nie to samo, z czego Autor winien był zdawać sobie sprawę. A przecież, jak to jednoznacznie wynika z lektury całej pracy, właśnie ten rozdział stanowić miał ów „gwóźdź programu”...

Zdaniem naszym, „teoria” Kozieleckiego nie spełnia adekwatnie ani funkcji eksplanacyjnej ani (tym bardziej) predykcyjnej.

Odnosnie pierwszej kwestii, to nie wiadomo chociażby, jakie funkcje spełnia samowiedza w całej strukturze osobowości jednostki, mimo, że Autor deklaruje się nam jako zwolennik podejścia właśnie funkcjonalistycznego.

Skoro już o osobowości mowa, to mimo, że Autor deklaruje się w tej mierze jako zwolennik psychologicznej teorii osobowości Obuchowskiego, nie jest bynajmniej jasne jaką rolę pełni samowiedza w tej ogólnej koncepcji.

Pominięta także została prawie całkowicie emocjonalna komponenta samowiedzy. Mankament ten także obniża znacznie eksplanacyjną wartość koncepcji Autora.

Wprawdzie analitycznie rozdzielane, lecz w praktyce dokładnie ze sobą powiązane są funkcje eksplanacyjne i predykcyjne teorii. Jeżeli bowiem na podstawie danej koncepcji nie potrafimy adekwatnie przewidywać, oznacza to, że wyjaśnia ona także nie za specjalnie. Zaś w ogólności wartość predykcyjna psychologicznej teorii Kozieleckiego przedstawia się w chwili obecnej wręcz fatalnie. Oczywiście najczęściej przewiduje się zachowania nie wprost z teorii, lecz w oparciu o uprzednio zoperacjonalizowane twierdzenia z niej wywiedzione. I tak np. można testować i przewidywać w oparciu o tzw. Prawo Kowala. Jednakże koncepcja Kozieleckiego nie daje zbyt wielu możliwości przewidywania na podstawie jej poszczególnych hipotez. Natomiast predykcja na podstawie tej koncepcji ujmowanej całościowo jest prawie niemożliwa. Mówiąc najprościej, „teoria” Autora nie daje nam zbyt wielu przesłanek do przewidywania przyszłych zachowań ludzi (zresztą lektura pracy wskazuje, że Autor zdaje sobie z tego choć częściowo sprawę).

Skoro koncepcja Kozieleckiego nie jest adekwatna zarówno z eksplanacyjnego jak i predykcyjnego punktu widzenia nie może mieć także i znaczącej wartości praktycznej. Choć akurat w tej kwestii jesteśmy zdania, że dobra teoria nie koniecznie musi posiadać zawsze wartości praktyczne, aczkolwiek i ta jej funkcja bywa najczęściej mile widziana.

Zresztą co do praktycznych możliwości wykorzystania swej koncepcji specjalnym optymistą nie jest także i sam Autor, choć sprawie praktycznych implikacji teorii samowiedzy poświęca aż trzy rozdziały pracy. Podkreśla przy tym, że główna praktyczna rola teorii samowiedzy zawiera się w pewnych działaniach podmiotowych (najogólniej mówiąc — w kształtowaniu cech charakteru i intelektu), jest mniejsza w działaniach interpersonalnych, zaś zupełnie nikła w działaniach przedmiotowych — przy czym ta ostatnia teza wydaje się dyskusyjna.

Wydaje się jednak, że Autor nie dostrzegł pewnej niezmiernie istotnej praktycznej implikacji adekwatnej teorii samowiedzy — mianowicie jej (w chwili obecnej jeszcze potencjalnej) roli w zapobieganiu działaniom o charakterze destrukcyjnym i autodestrukcyjnym jednostki. O zignorowaniu przez Autora tego niezmiernie interesującego i społecznie istotnego problemu świadczy chociażby fakt, że w rozdziale poświęconym roli samowiedzy w działaniach podmiotowych liczącym blisko 30 stron roli samowiedzy w działaniach destrukcyjnych poświęcił niecałą stronę markując jedynie zajęcie się tym zagadnieniem. Cóż... Każdy Autor ma bliższe i dalsze mu tematy, pewnymi zagadnieniami może się w ogóle nie interesować. Tym niemniej choćby przez fakt wagi problemu jak również ogromu istniejącej w tej materii li-



teratury zlekceważenie kwestii samowiedzy w działaniach destruktywnych (mamy tu na uwadze przede wszystkim wpływ na destrukcję samooceny, standardów osobistych oraz poziomu samoakceptacji) w pracy mającej ambicję całościowego ujęcia problematyki samowiedzy uważamy za poważny błąd. A także nie wykorzystaną szansę...

5. Ostatnia z kwestii jakie pragnęlibyśmy podjąć dotyczy wprawdzie pracy Kozielskiego, ale także wielu innych prac teoretycznych i empirycznych i to wcale nie wyłącznie z zakresu psychologii. Punktem wyjścia do naszych rozważań będą jednak pewne stwierdzenia zawarte w pracy Autora. Otóż podkreśla on niejednokrotnie, że teorie psychologiczne mają charakter probabilistyczny. Także charakter mają czynione na ich podstawie predykcje, z czym rzecz jasna trudno się nie zgodzić. Problem prawdopodobieństwa pojawia się w pracy Kozielskiego jeszcze i w innym kontekście — mianowicie odnośnie subiektywnie odczuwanego prawdopodobieństwa (pewności) posiadania danego składnika samowiedzy. Inna sprawa, iż zarówno praktyczna jak i teoretyczna wartość tego bez wątpienia interesującego i nowatorskiego fragmentu pracy, wielu badaczom nasuwać może szereg zastrzeżeń. Tak więc w rozmaitych kontekstach i przy rozmaitych okazjach w książce Kozielskiego pojawia się problem probabilistyczności i prawdopodobieństwa.

Nasunęło to nam pewną generalną uwagę odnośnie teorii w naukach społecznych w ogóle. Oczywiście kwestia probabilistycznego charakteru wszelkich twierdzeń w naukach społecznych nie jest bynajmniej nowa. Jednakże rzadko kiedy badacze zadają sobie pytanie o ile wyższa od 50% winna być trafność przewidywania dokonywanego w oparciu o daną teorię, by można ją było uznać za „dobrą” czy przynajmniej „poprawną” — 60%, 80% a może 95%? Cóż. Należy z pokorą uświadomić sobie, że status nauk społecznych w porównaniu z „prawdziwymi” naukami jest jeszcze w dalszym ciągu bardzo niski — zarówno od strony teoretycznej jak i empirycznej. Ale swoją drogą ciekawe jest jakby zareagowali fizycy, gdyby wyszło na jaw, że powiedzmy, teoria względności potwierdza się w 60 przypadkach na 100... Stąd też nie negując faktu, że teorie w naukach społecznych mają i zapewne jeszcze bardzo długo będą miały charakter probabilistyczny nie byłoby chyba rzeczą złą ustalenie w miarę znormalizowanych kryteriów oceny stopnia trafności prawdopodobieństwa wnioskowania na podstawie teorii poniżej którego nie będziemy uznawać danej koncepcji za uprawnioną.

6. Omawiany powyżej problem znajduje swoje lustrzane odbicie także na poziomie empirycznym. Nie dość, że każde poszczególne badanie też ma swój określony stopień prawdopodobieństwa, ale sytuację dodatkowo komplikuje fakt, że bynajmniej nie do rzadkości należy uzyskiwanie diametralnie odmiennych wyników w badaniach na ten sam temat. Na wiele takich paradoksalnych i kłopotliwych sytuacji wskazuje w swej pracy Kozielski. Trafiają się nawet i takie dziwaczne sytuacje, że połowa badań daną hipotezę potwierdza, a druga jej zaprzecza. Cóż może uczynić w tej niecodziennej sytuacji szanujący się naukowiec. Zapewne odpowie, że problem ten wymaga dalszych badań. Nota bene zdanie tego rodzaju pojawia się w książce Kozielskiego tak często, że gdyby je razem wydrukować zajęło by to 2—3 strony maszynopisu. Oczywiście nie czynimy z tego Autorowi zarzutu. Wręcz przeciwnie — świadczy to o jego rzetelności i skrupulatności naukowej. Trudno bowiem przyjąć bezkrytycznie zasadę, że

skoro 60% badań przemawia za daną hipotezą badawczą, zaś 40% jej nie potwierdza, to suma sumarum hipoteza jest „raczej” potwierdzona bądź poparta. Choć niestety i tego rodzaju postawy badawcze się zdarzają. Nie można jednak abstrahować zarówno od różnego poziomu metodologicznego poszczególnych badań, odmienności stosowanych technik badawczych, rozmaitej próby etc. W sumie jedno dobrze przeprowadzone badanie może się okazać znacznie bardziej wiarygodne od setki badań złych.

Musimy dokładnie zdawać sobie sprawę z faktu, że mimo długoletniej egzystencji nauki społeczne są w dalszym ciągu w powijkach. W szczególności dotyczy to rażących niekiedy niedostatków w stosowanych narzędziach badawczych jak i niedoskonałości metodologicznej. Czy zatem w sytuacji, w której wyjściowy materiał empiryczny pozostawia tyle do życzenia nie byłoby rozsądniej rozwijanie właśnie owych podstaw (warsztatu badawczego) miast formalizowanie na siłę tego, co do czego żaden szanujący się specjalista nie ma większych złudzeń, że pozostawia wiele do życzenia, a w krańcowych przypadkach wręcz się nie trzyma kupy. Niestety ta dość irytująca tendencja ostatnio niebezpiecznie się nasila — nie ominęła ona także i ostatniej pracy Kozieleckiego. Sądzimy, iż u podłoża tej tendencji do stosowania za wszelką cenę języka sformalizowanego leży po części chęć zwiększenia prestiżu uprawianej dziedziny wiedzy. Bądź co bądź wyrażenie jakiegokolwiek choćby i banalnej prawdy w języku symboli dodaje niejakiemu splendoru głoszonym prawdom. Tym niemniej jesteśmy zdania, że na obecnym etapie rozwoju nauk społecznych jest to zabieg nieuprawniony i niecelowy. Podejmujemy się przedstawić w języku sformalizowanym pierwsze słowa piosenki „włazi kotek na płotek i mruga”, ale czy coś rozsądnego z tego wyniknie?

7. Wprawdzie, jak już zastrzeżyliśmy na wstępie, tekst niniejszy był polemiką z wybranymi tezami ostatniej książki Kozieleckiego nie zaś recenzją w potocznym rozumieniu, to jednak na koniec wypada powiedzieć kilka słów o pracy jako całości. Mimo, że tekst nasz stanowił polemikę z większością tez zawartych w pracy Autora w związku z czym można by odnieść wrażenie, że nie pozostawiliśmy na Kozieleckim suchej nitki, to jednak uważamy, że książka będąca przedmiotem naszych uwag jest w sumie wartościowa. Autor, jak zwykle zresztą, operuje językiem zwięzłym i przejrzystym, zaś jego wywody charakteryzują się dużą naukową rzetelnością i obiektywizmem, które to cechy nie są niestety tak rozpowszechnione, jak by się to mogło wydawać.

Ostrość naszych sformułowań, co podkreślamy raz jeszcze, dotyczy wyłącznie konkretnych ujęć problemów przez Autora lub też braków pewnych elementów, które, naszym zdaniem, winny się w tej pracy znaleźć. Sądzimy, że uwagi nasze mogą choć w niewielkim stopniu przyczynić się do dalszego rozwoju teorii samowiedzy. To też z czynionych przez nas krytycznych nieraz refleksji w żadnym wypadku nie można wnosić o naszej ocenie wartości samej pracy, którą — jak wspominaliśmy — oceniamy wysoko. Sądzimy wszakże, że taka merytoryczna polemika — choć momentami ostra i bezkompromisowa — w większej mierze przyczynić się może do rozwoju wiedzy psychologicznej (zresztą także każdej innej) niż lukrowane, zdawkowe „recenzje”, które w przytłaczającej większości ograniczają się do przedstawienia „własnymi słowami” omawianej pracy (lub jedynie jej spisu treści, co też nie jest zjawiskiem wyjątkowym), po czym

następuje zazwyczaj wytknięcie autorowi kilku mało istotnych błędów, nieścisłości czy niedoskonałości ujęcia pewnych zagadnień. A wszystko to pisane jest na ogół w takiej formie, by broń Boże specjalnie nikogo nie urazić, bo jeśli nawet nie sam autor, to być może któryś z jego znajomych poczuje się dotknięty i przy sprzyjającej okazji weźmie na autorze recenzji srogi odwet. Stąd nasze periodyki naukowe pełne są takich „niby recenzji”, z których niewiele wynika, ogólny zaś ich wydźwięk jest na ogół taki, że wprawdzie praca ma pewne mankamenty (np. nie trafne ujęcie na s. 211), ale w sumie jest dobra.

W powyższych rozważaniach staraliśmy się w miarę rzetelnie uwzględnić wszelkie mankamenty pracy Kozielskiego — w szczególności odnoszące się do tego czego w tej pracy brak, a zdaniem naszym, znaleźć się powinno. Z pewnością dzieło Kozielskiego nie jest doskonałe. Zresztą nie ludźmy się — takie czy inne niedostatki zawiera każda praca naukowa. Doskonałe bowiem są tylko dzieła boskie... i to nie zawsze.

Mimo, że tak krytycznie ustosunkowaliśmy się przed chwilą do pewnego typu recenzji naukowych — szczególnie w kwestii czepiania się drobiazgów, które mają maskować brak całościowej oceny dzieła nie możemy jednak — choćby z racji przedmiotu badań, którym się obecnie zajmujemy — pominąć pewnego „drobiazgu”. Otóż na s. 87 Autor pisze: „O samoocenie decydują więc najlepsze momenty w życiu, co powoduje, że strategia alternatywna często prowadzi do zawyżonych samoocen, być może jest ona bliska psychotykom i przestępcom” (podkreślenie nasze K.O.,A.S.) Zdajemy sobie sprawę, że nie ma takiego naukowca, który by się znał na wszystkim, a gdyby i nawet taki się pojawił, byłby to zapewne kiepski naukowiec. Pewna specjalizacja jest po prostu koniecznością. Tym niemniej Autor nie powinien przytaczać egzemplifikacji z dziedzin najwyraźniej całkowicie mu obcych. Co do psychotyków, to wystarczy wspomnieć jedynie, że psychozy bywają rozmaite, o całkowicie odmiennym przebiegu i objawach choroby. Już choćby z tej przyczyny nie można uznać przypuszczenia Kozielskiego za w pełni zasadne. Natomiast stwierdzenie, iż zawyżona samoocena dotyczyć ma także i przestępców jest już z gruntu fałszywe. Po pierwsze, przestępczość nie jest zjawiskiem jednorodnym. Mianem przestępcy określa się zarówno przestępcę drogowego (lub innego, który dopuścił się czynu o charakterze nieumyślnym), gospodarczego, złodzieja i zabójcę. Jest niedopuszczalną symplifikacją przypisywanie jednorodnej cechy tak dalece heterogenicznej grupie. Po drugie, niezależnie od poprzednich uwag, twierdzenie czy też domniemanie Kozielskiego jest w świetle wielu dokonanych w tej dziedzinie badań po prostu nieprawdziwe. Należało więc albo sięgnąć do przebogatej w tej mierze literatury, albo też... zmienić przykłady.